



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

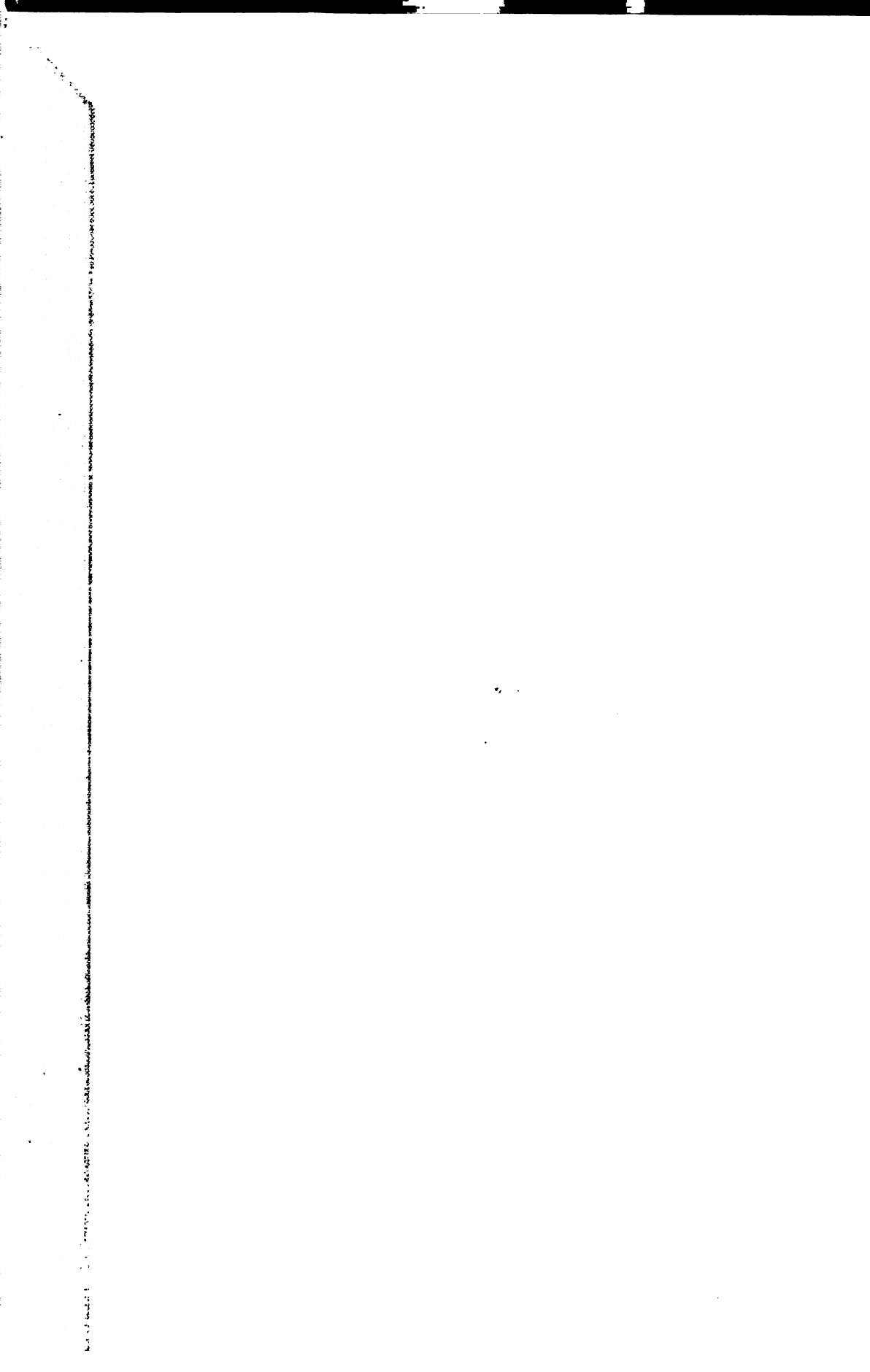
Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

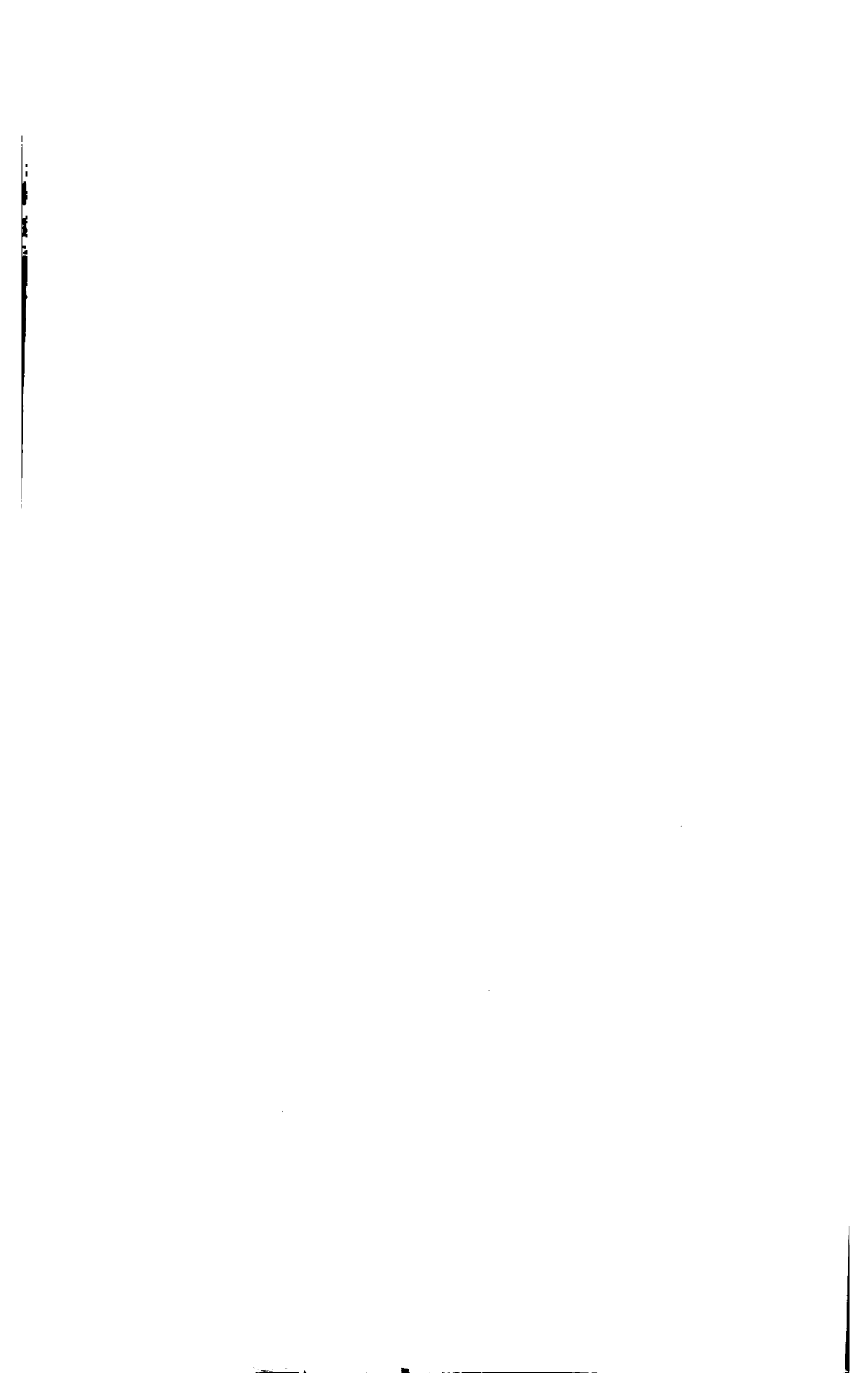
PG  
7158  
W79B6

Wysocki  
BOCIAN

STANFORD  
LIBRARIES







*Panue Adolfovi Cerremu*  
*15. 3. 98.* *od Stly*



**BOCIAN.**



Доволено цензурою. Кіевъ, 3 Ноября 1893 года.



КІЕВЪ.  
Типографія С. В. Кульженко, Ново-Елисаветинская улица, домъ № 4.  
1893.





# BOCIAN

Dwie legędy.

NAPISAŁ


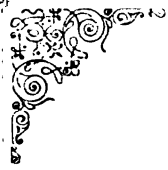
WŁODZIMIERZ WYSOCKI.



STANFORD  
LIBRARIES

KIJÓW i ODESSA.  
Nakładem Księgarni Boleśława Koreywy.  
1894.

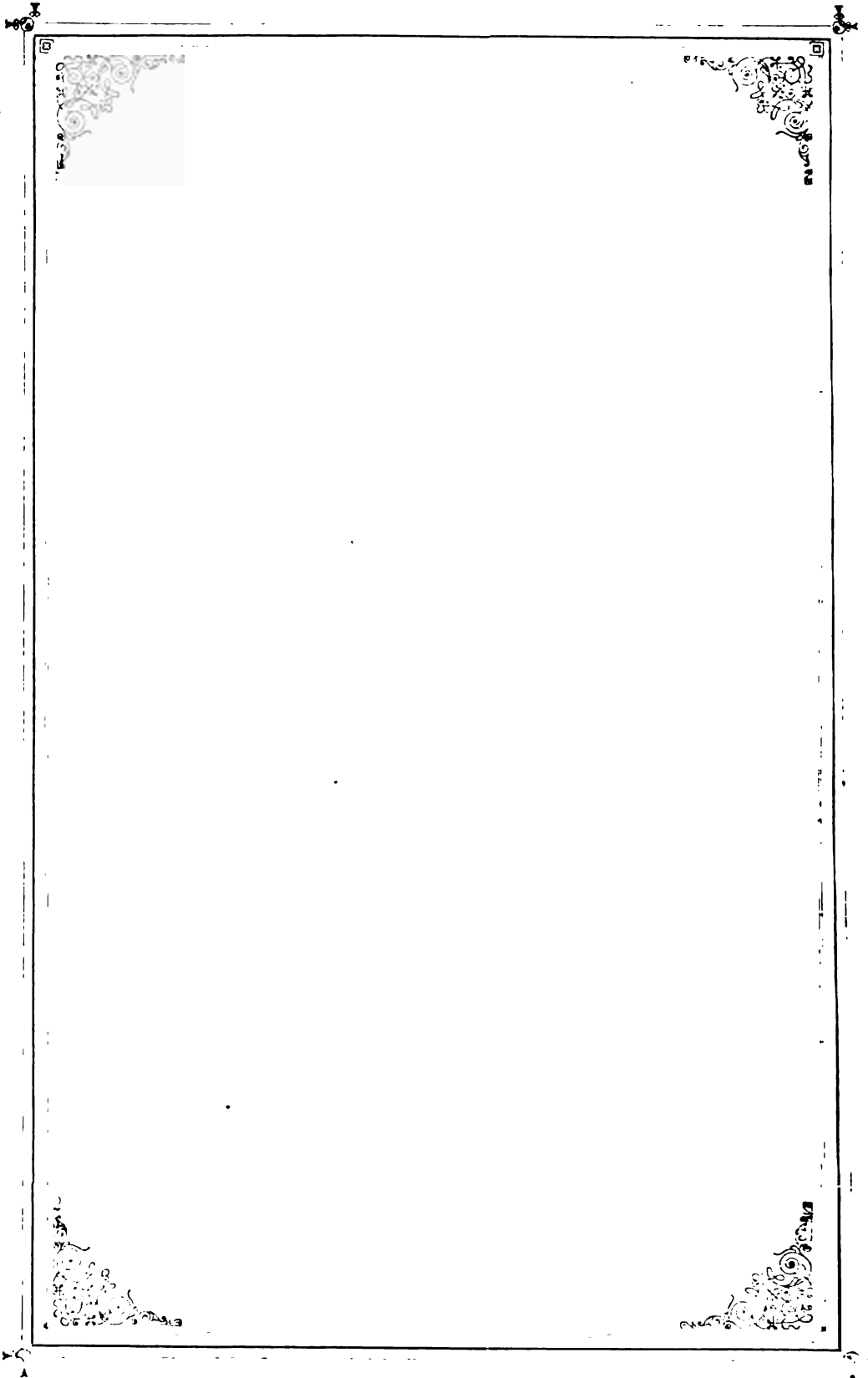
PC-7158  
W179 36



*Tadziowci i Tadzi*

*od Autora. D*







# Bocian.

## LEGENDA I-SZA.

Tam na błoni błyszczą kwiecie,  
Stoi ułan na widocie  
A dziewczyna jak malina....

## CZEŚĆ PIERWSZA.

Stali oboje na skoszonej łące,  
Co była ramą u stawu zwierciadła;  
Zwolna jesienne schylało się słońce  
I mgły jak wielkie z gazy prześcieradła,

Nad modrą tonią zwieszając się nisko,  
Cicho bujały ospałymi ruchy....  
Dalej, za stawem nagie pól ściernisko  
I dwa wiatraki nieme jak dwa duchy

Lub dwa potworne chrabąszcze-straszydła,  
Ogromne swoje rozpostarłszy skrzydła,  
Wśród mgły sinawej nieruchomie stały,

Po niebie chmurki płynęły powoli,  
I dziwny urok jakiejś melancholji  
I ukojenia był w przyrodzie całej.

\* \* \*

Na stawie odblask niepewny się ślizga  
Jak cichy uśmiech na twarzy dziewczyny,  
Co rozmarzona przedzie u ogniska  
I liczy zbiegłe z kochankiem godziny.

Czasem w szuwarach wietrzyk zaszleszcze  
Lub srebrna rybka z topieli wypluska,  
Wówczas po wodzie biegną złote dreszcze  
I toń spokojna migoce jak łuska.

Tylko u brzegów, gdzie szemrzą rokity  
I oczeretów kołyszą się kity,  
Legł cień. Tam z pośród sitowia badyli

Niekiedy wodna ukaże się kurka  
Lub łyska wyrzy nagle i da nurka  
Pod szerokimi liśćmi białych lilij.

Stali we dwoje.... Był to dzień jesieni,  
Ów dzień pogodny tej jesieni złotej,  
Co się dojrzałym owocem rumieni  
I w śierniach szemrze piosenkę tęsknoty.

Kiedy las z ramion zrzuca płaszcz zieleni  
A *babie lato* dziwaczными sploty  
Bujając w słońcu, srebrzy się i mieni,  
Cienkiem przedziwem zwiesza się na płoty,

Lub nagie krzewy i łodygi zielska  
Oczepia niby koronka brukselska;  
Kiedy bez szmeru niby łzy sieroce

Z klonów spadają purpurowe liście;  
Kiedy jarzębin czerwienią się kiście  
I przymrozkami już srebrzą się noce.

\* \* \*

Kocham pogodną cudną jesień naszą,  
Jesień rumianą, dostatnią, obfitą,  
Która na łąkach stawia sterty z paszą  
I sypie w zasiek pszenicę i żyto!

Lubię tę wielką zadumę w naturze  
Nad dopełnionem posłannictwem swoim,  
Gotową wichry zimowe i burze  
Spotkać odważnie, z poważnym spokojem;

Lubię jej rosy rześne i mgły senne  
I te pól rżyska milczące, przestrzenne  
I ciche, w skibach leżące ugory

I ową w lesie jakąś ciszę błogą  
I spadłych liści cichy szmer pod nogą  
Jakby szepczących mi: *memento mori!*...

Stali wśród łąki, wzięwszy się za ręce;  
On—smukły młodzian w mundurze ułana,  
Ona w pasterce i białej sukience  
Jak śnieżny narcyz obok tulipana.

Jesienne słońce, które już się chyli,  
Na ich postaci kładło blask różowy,  
Rój złotych muszek i barwnych motyli  
Jak aureola otaczał ich głowy

I balsamiczny zapach ziół i siana  
Oblewał falą dziewczę i młodziana,  
Którzy spokoju dziwną błogość czuli,

Choć on na twarzy przejrzystej i bladej  
Nosił cierpienia niedawnego ślady  
I lewą ręką wspierał się na kuli.

\* \* \*

A dziewczę było.... Malarz na portrecie,  
Chcąc wiernie oddać lice tej panienki,  
Musiałby chyba mieć na swej palecie  
Farby zebrane z barw rannej jutrzenki

Od srebrnych lilij zapożyczyć bieli,  
By nią malować jej czoło i szyję,  
Oczom dać głębię i barwę topieli,  
W której się gwiazdka wieczorna odbije...

Temi oczyma lecz z troską niemałą  
I niepokojem dziewczę spoglądało  
Na towarzysza czoło coraz bledsze,

Wreszcie się tuląc do niego bezwiednie,  
Ozwie się cicho:—Widzę, że pan blednie:  
Może za chłodne dla pana powietrze?



Czy tej przechadzki na dziś nie zawiele?  
Zbytek powietrza osłabia nie krzepi...  
Czy rana boli?—»O, nie, mój aniele!  
Wierz mi, że nigdy nie czułem się lepiej!

Krew mi poczyna do serca przylewać  
I błogość tętni żyłami wszystkimi  
I płakać chce się i chce hejnał śpiewać  
Owemu słońcu i niebu i ziemi!

I takim szczęściem pierś ma przepelniona,  
Że cudny świat ten porwałbym w ramiona  
A najprzód ciebie, któraś w mej chorobie

Byłaś lekarstwem, miłością, opieką....  
Bez ciebie byłbym trupem, lub kaleką,  
Przez ciebie żyję, cały świat mam w tobie!

\* \* \*

Niech będzie kula ta błogosławioną,  
Której o mało nie stałem się łupem!  
Jej to zawdzięczam, że mię przyniesiono  
Pod waszą strzechę krwią ociekłym trupem,

A gdy omdlenia długa przeszła chwila  
I kiedym powstać próbował z pośłania,  
Ujrzałem że się nademną pochyła  
Cichy i jasny anioł zmartwychwstania....

Znów tedy ciężkie zmróżyłem powieki,  
Aby nie spłoszyć tej postaci lekkiej,  
Która, sądziłem, jest sennem widziadłem,

I pod urokiem owego widzenia  
Dziwniem słodkiego doznał upojenia  
I w stan jakiegoś zachwyty zapadłem.

W malignie długie przemijały noce,  
A gdy na chwilę zmyły jej znikają,  
Wówczas widziałem, że lampa migoce  
I czuwa przy mnie mój Stróż-Anioł biały.

Niekiedy w chwilach silniejszej gorączki,  
Gdy mię straszyły larwy i poczwary,  
On na me skronie lekko kładł swe rączki  
I wnet pierzchały z powiek moich mary,

I coś mi w sercu nakształt cudnej pieśni  
Szeptano: »Anioł twój się ucieleśni  
I swe ramiona dla ciebie otworzy....«

Nie omyliło mię przeczucie moje:  
Dzisiaj kochany, jakże słodko roje!  
Jak się uśmiecha ku mnie ten świat boży!

\* \* \*

Lecz powiedz, Jadziu! naprawdę słyszałem  
To twoje »kocham?« Czy mogę się łudzić?  
Może to było gorączkowym szałem?  
Możem z maligny dotąd się nie zbudzić?

Lub może prosta litość dla chorego,  
Co walcząc z śmiercią, wyznał że cię kocha,  
Była pobudką, żeś mu *kochał* swego  
Nie odmówiła.... by pocieszyć trocha?

Ach, rozprosz moje zwątpienia, o droga!  
I w obec słońca tego, w obec Boga  
Powtórz że kochasz!

»Tak, kocham!... szepnęła—  
Kocham, jak tylko ludzie kochać mogą,  
Kocham nad życie, jak nigdy nikogo!...«  
I pocałunkiem usta mu zamknęła.

Był to ów pierwszy, święty pocałunek,  
Czysty jak czyste tchnienie cherubina,  
Upajający jak niebiański trunek!  
Ów pocałunek, co skrzydła przypina

Do naszych istot—i nagle porywa  
W jakieś nadziemskiej szczęśliwości kraje!  
Raz tylko w życiu taka chwila bywa  
Lecz jej wspomnienie na zawsze zostaje!

Wciąż powtarzając uściski gorące,  
Tysiące zakłęk, zapewnień tysiące  
Dawali sobie kochankowie młodzi,

Słońce patrzyło na nich tak łaskawie,  
Rybki pluskały tak wesoło w stawie,  
Łąka tonęła w zapachów powodzi....

\* \* \*

Oboje tedy wzniesli w górę oczy,  
Niebo za świadka biorąc swej przysięgi,  
W tem na błękitnej ujrzeni roztoczy  
Bocianów wielkie bujające kręgi.

Migały one skrzydłami czarnemi,  
Pławiąc się w słońcu i zmieniając zwroty  
I wciąż się niżej spuszczały ku ziemi,  
Coraz głośniejsze wydając klekoty.

Aż oto nagle spadłszy, ich gromada  
Na sianozęci wielkiem kołem siada,  
Klekocą o czemś i szyje swe dłużej;

Któż pojmie język tej rzeszy dziobatej?  
Był to sejm walny, powszechne debaty  
Przed zamierzoną zimową podróżą....

Wśródtku samotnie stał jeden z bocianów  
Prezydujący, czy delikwent może,  
Zamknięty kołem sejmujących stanów,  
Które zwężyło wciąż swoją obrozę.

Ku niemu wszystkie dzioby skierowane  
I wyciągnięte szyje zgromadzenia,  
Jak gdyby czynią mu jakąś naganę;  
On jeden milczy, postawy nie zmienia.

Wtem wszystkie razem porwą się do góry,  
Zakotłowało tam nakształt wichury  
I wnet z chaosu piór szumu i wrzawy

Jak z chmury, w której huczy gradu brzemień,  
Jeden, młynkując, ciężko spadł na ziemię,  
Bezładne skrzydła rozpostarł wśród trawy.

\* \* \*

Oboje żywo podbiegli do ptaka,  
Któremu z dzioba ciekły krwi korale,  
Lecz jeszcze życia była w nim oznaka,  
Chociaż skrzydłami nie poruszał wcale.

Ach, biedny boćku! nieszczęsna ofiara  
Zagadkowego dramatu czy zbrodni!  
Zacóż, biedaku, tak okrutną karą  
Dotknęli ciebie współbracia niegodni!

Zabierzmy, Tadziu to zranione ptaszę,  
Może ocucą go starania nasze!  
—Mówi panienska nad nim zatroskana.

Wieczór się zbliżał, słońce gasło w dali,  
Ułan z dziewczyną do domu wracali,  
On niósł na rękę, jak dziecko, bociana...

Lecz oto jesień zmienia swoje postać:  
Dnie coraz krótsze, coraz dłuższe noce,  
I deszcz ze śniegiem począł ziemię chłostać,  
Ze strzech ocieka i w okna łopoce....

Dąb smutnie chwieje czołem kędzierzawem,  
Osika skrzypie żałośne: niestety!  
I, rozczochrane jak wiedźmy, nad stawem  
Stoją odarte z liścia wierzb skielety.

Jakaś senliwość jest w całej naturze:  
Na czarnych drogach śpią brudne kałuże  
I senne chmury wiszą po nad ziemią

I nawet wrony—lubownice słoty—  
Obsiadłszy gruszę bezlistną i płoty,  
Dzioby chowają pod skrzydła—i drzemią...

\* \* \*

Czasem wiatr dmuchnie, deszcz mocniej się puści,  
Zaszumią drzewa. co ospałe mokną,  
Wiedźma zawyje w komina czeluści  
I pokutniczy duch zabębni w okno.

Słota!... Szczęśliwy, komu w takiej porze  
Nie braknie dachu nad głową i kąta,  
Kto przy płonącym sięć kominie może  
I cichą dumką myśli swe zaprząta!

Lub słodko gwarzy z kochaną istotą  
I w myślach ciebie błogosławi, słoto,  
Żeś go dziś dłużej zatrzymała przy niej!..

Czasem z płomienia żywsza iskra pryśnie  
I jeśli wówczas—z lęku, nie umyślnie—  
Zbliżą się twarze—któż za to obwini?

Słotne i długie wieczory jesieni  
Naszym kochankom niby chwile biegną  
Przed tym kominkiem, w którym się płomieni  
Wonne, jaskrawe światło pnia smolnego.

Płomień, tańcząc, to podskoczy z sykiem,  
To jak wąż w koło kłody się obwinie  
I zanim pożre—liże ją językiem;  
To nagle pryśnie snopem skier w kominie.

Odblask na oknach miga uśmiechnięty,  
Zagląda w kąty i całuje sprzęty,  
Których sylwetki odbija na ścianie

I dwa zbliżone ludzkie cienie kładnie,  
Przy nich cień trzeci, w którym każdy zgadnie  
Zwiększoną postać i kształty bocianie.

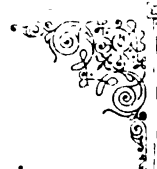
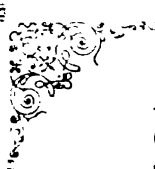
\* \* \*

Bocian od dawna już zdrowiem się cieszy,  
Już się oswoił—podchodzi do ręki,  
Jest ulubieńcem państwa i sług rzeszy,  
Lgnie do ułana, zwłaszcza do paniąki.

W nim jedyne mają powiernika  
Swych cichych rozmów. Nieodstępny prawie,  
Zdaje się myśli kochanków przenika,  
Tak im do oczu zagląda ciekawie!

Najprzyjaźniejsze stosunki z nim kwitną!  
Dziewczę nań wstążkę włożyło błękitną,  
Bowiem powiada, że w niej mu »do twarzy«

Dziwnem zaiste byli widowiskiem  
Tych dwoje ludzi i ptak—przed ogniskiem,  
Obrazek wdzięczny dla pędzla malarzy....



Ale jak wszystko kończy się na świecie,  
Czy chwila szczęścia, czy lata boleści,  
Tak i wieczorom tym kres przyszedł przecie,  
Tak przyjdzie koniec tej mojej powieści....

Już Tadeusza zgoiła się blizna,  
Więc młodzian ciągle myśli o podróży,  
Gdyż do szeregów wzywa go powinność,  
Dziewczę nie może zatrzymać go dłużej.

A choć boleśnie odjeżdżać kochanki  
I w niebezpieczne znów wstępować szranki,  
Lecz w końcu w karby wziął słabnącą wolę,

Znów powtórzono przysięgi zaklęcia  
I ułan, łzami żegnany dziewczęciami,  
Dosiadł kasztana i wyruszył w pole.



## CZEŚĆ DRUGA.

Wschodziła gwiazda owego mocarza,  
Który miał wstrząsnąć tronu podwaliny  
I jako płomień, co niszczy i stwarza,  
Przelatał góry, morza, i doliny!

Ów genialny wódz Francyi młodej,  
Porwawszy z sobą i szczątki legjonów  
Z alpejskich wyżyn spadł na Nilu wody,  
Grzmotem dział budząc w grobach Faraonów!

Egipt deptały zwycięskie zastępy...  
Z orłami Franków powiewały strzępy  
Naszych sztandarów i lanc chorągiewki....

Po raz to pierwszy Fellahy zdumiali  
Na lud dalekiej północy patrzali,  
Pierwszy raz nasze usłyszeli śpiewki.



Pocście tutaj, waleczni przybłądy  
Co jasnym okiem patrzycie tak smutno?  
Jakież to losy pały was aż tędy,  
Serca nadzieją mając bałamutną?

Jakże musieli coś ukochać czule,  
Jeśli tu factwo wzięwszy za dewizę,  
Aż tu przychodzą—ledz w nilowym mule  
I łzawe oczy przykryć piaskiem Gizeh!

Tu i Tadeusz znalazł się z innymi.  
On, w tęsknem sercu niosąc żal olbrzymi,  
W tłum mameluków na oślep naciera

I szuka śmierci pośród wrogów rzeszy,  
Bo go ni order legii nie cieszy,  
Ani zdobyte szlify oficera.

\* \* \*

Nieprzemóżona rozpacz i tęsknota  
Chwyciły ducha jego w ostre szpony;  
Już los dwa lata po świecie nim miota,  
Niby zerwanym listkiem, w różne strony.

Ach, tak daleko od kochanej Jadzi!  
Tak od zagrody ojczystej daleko!  
Czy go Bóg kiedy znów tam zaprowadzi?  
I czy go nogi do domu dowleką?

Dwa lata myślą o kraju się pieści,  
Dwa lata niema od kochanki wieści,  
Czy żyje? zdrowa? czy wierna mu stale?

Tak myśląc, leci na sztych mameluka,  
Albo ustronia samotnego szuka  
I tam przed Bogiem wynurza swe żale.

Czasem go dziwna apatya napadnie:  
Przestaje marzyć o Jadzi, o domie,  
Lecz się rościąga na piasku bezwładnie  
I w przestrzeń oczy wlepie nieruchomie.

Przed nim na niskiej płaszczynie szerokiej,  
Której kres strzegą zaostrome kopce,  
Jakże wspaniałe toczą się widoki!  
Lecz jak nieswojskie, jak dziwnie mu obce!

Słońce okrągłe jak miednica duża  
Po zatym właśnie kresem się zanurza,  
Czerwieniąc Nilu gładkie, lśniące łono

I te prastare nad brzegiem ruiny,  
Co zaglądują do jego głębiny  
Z jakąś powagą dziwnie zasępioną.

\* \* \*

Najmniejszy wietrzyk tych palm nie porusza,  
Które wysmukłe po nad brzegiem stoją  
Niby olbrzymie jakieś pióropusza  
I w wodzie postać odbijają swoją.

Dalej obszary żółtawej pustyni,  
Na której czasem migną w blaskach słońca  
Jak stado ptaków białych—Beduini,  
Lub karawana przeciąga bez końca.

Tu—ówdzie wioska śpi na rumowisku,  
Hen tam wysmukła postać obelisku  
Wystrzela w niebo jak stercząca dzida;

Tam sfinks o głowie ogromnego mopsa  
Grzebie się w piasku... dalej grób Cheopsa,  
Owa najwyższa w świecie piramida!

Potworny pomnik Faraona dumy  
Dotychczas grozę i zdumienie budzi...  
Głupi tyranie! jakże wielkie tłumy  
Musiały jęczeć tu nieszczęsnych ludzi!

Ileż zużyłeś ich krwi, potu, siły,  
Zanim z Libanu krainy dalekiej  
Na zgiętych karkach przywlekli te bryły,  
Wśród których miałeś zamieszkać na wieki,

Myśląc że ciebie już ztąd nikt nie ruszy....  
Tymczasem oto dziś Kopta pastuszy  
Lub biedny Fellah twoją mumję bierze

I nie pytając: kto zacz? Jak nazwisko?  
Podpala, niby drewka na ognisko,  
Przy którym warzy swą nędzną wieszczerzę!

\* \*  
\*

Ciemięzco ludu! może tylko tyle  
Z ciebie pożytku zasługę stanowi!  
Pałaców twoich dziś zwaliska w pyłe  
Niedają nawet cienia pastuchowi!

I piramida twoja dzisiaj pusta  
Szeregi wieków stoi chyba poto,  
By błędna gawiedź otwierała usta  
A mędrzec bolał nad twoją głupotą!

Na ten twój pomnik z łez, krwi ludzkiej danin  
Wykolejony losem »nadwiślanin«,  
Co szuka w świecie kąta swej rozpacz—

Wdrapie się czasem, ze szczytu krawędzi  
Stęsknionem okiem na północ popędzi,  
Ale napróżno.... domu nie obaczy....

Wśród takich dumań oczy Tadeusza  
Biegły daleko wzdłuż Nilu wybrzeży;  
W tem nagle słyszy: obok coś się rusza;  
Spójrzył za siebie i oczom nie wierzy.

Jest-że to złuda myśli utęsknionej  
Za lubym krajem, za rodzinną chatką?  
Czyż mógł przylecieć w tak dalekie strony?  
Tak, to on, bociek.... z błękitną krawatką!

Jakież wrzuszenie, Boże, radość jaka!  
Porwał się, ręce wyciągnął do ptaka  
I wszystko za czem tęsknił, co ukochał

Stańło przed nim. Czuł że znowu żyje,  
Całował gościa, obejmował szyję,  
Tulił, przymawiał i—jak dziecko szlochał?....

\* \* \*

Trzeci rok tęskni biedne serce Jadzi,  
Trzeci rok związki odpycha najlepsze,  
Ale już dłużej sobie nieporadzi,  
Woli rodziców niczem nie odeprze.

Dość już czekania mówi ojciec stary—  
Kto wie, czy żyje, na jakim jest świecie....  
Gdyby miał jakie pocziwe zamiary,  
Toby przyjechał, czy napisał przecie!

Młodzież dziś płocha i nie stała, zwłaszcza  
Młodzież wojskowa, zepsuta, hulaszczą,  
Každy z nich pijak, bałamut, kostera,

Wreszcie Tadeusz swój majątek cały  
Na niepochwytne strwonił ideały  
I gdzieś hołyszem po świecie się stera!

—A pan Ignacy człek porządny statek,  
Przy tem majątny, pięknych kolegacyj...  
Taki zieć budzi zawiść wszystkich matek!  
A myśmy przytem wcale nie magnaci

I nie rozsądnem będzie z naszej strony  
Nie korzystanie z takiej konjunktury!  
Porzuć więc aścka swój upór szalony  
I chętnem sercem przyjmij te konkury.

Matka też swoich perswazyj nie szczędzi,  
Co dzień namawia, przedstawia i zrzędzi  
Toż samo inni kładą jej do uszu.

I ot powoli w pamięci dziewczęcej  
Obraz kochanka zaciera się więcej,  
Aż dnia pewnego.... Biedny Tadeuszu!

\* \* \*

Po zimie mroźnej i śnieżnej i długiej  
Nastała wiosna śnieg już stopniał prawie,  
Zagrały rzeki ruczaje i strugi,  
I zaśpiewały ciągnące żurawie.

I wnet w przyrodzie całej jak na apel  
Co żyło, wszystko wyszło z swego kąta  
I setki leśnych ozwały się kapel  
I tłumy ptasząt u gniazdek się krząta....

Już z wierzby dudkę sobie kręci chłopię,  
Wieśniaczka grędy już w ogrodzie kopie,  
I rolnik z pługiem już wyszedł na pole,

A słońce coraz podnosi się szczytniej  
I niebo codzień smieje się błękitniej,  
I coraz ludniej i weselej w siole.

W dziedzińcu rojno, w domie tłuny gości,  
Przed gankiem karet, bryk i koczów wiele;  
Ciekawa gawieź ciągnie z całej włości  
Spójrzeć na panny Jadwigi wesele

Oto na ganek wyszła młódź wesoła,  
Wychodzą strojni panowie, kobiety,  
Za chwilę mają ruszyć do kościoła,  
Właśnie stangreci podają karety.

Ot wyszła panna młoda w družek gronie,  
W białej sukience i długim welonie,  
W mirtowym wianku na przybladłej skroni

Tuż i pan młody sztywno za nią dybie:  
Lśniącą, okrągłą ma twarz, oczy rybie,  
Potwornych kształtów bukiet trzyma w dłoni.

\* \* \*

Jadwiga wzrokiem powiodła po niebie,  
Na którym mknęły białych chmurek puchy,  
Może tam, w górnych błękitach dla siebie  
Szuka biedaczka mocy i otuchy.

Dzień był prześliczny, powietrze jak kryształ,  
Pełne świeżości, pełne aromatu!  
Gdzieś tam skowronek niewidzialny świstał  
Swoje wiosniane powitanie światu...

A w tem zawołał z tłumu głos donośny:  
—Ot, patrzcie, bocian! pierwszy bocian wiosny  
Krąży nad nami... otacza dziedziniec...

A na to rzeknie wesoło pan družba:  
—Dla państwa młodych szczęśliwa to wróżba:  
Za rok im pewnie przyniesie gościniec....

Z konceptu tego głośno się zaśmiano,  
Pan młody z dumą musnął wąsik mysi  
I jeszcze sztywniej podniósł twarz rumianą,  
Rzuciwszy czułe spójrzanie Jadwisi,

Lecz ta nie widzi ani słyszy tego;  
Myśl jakaś inna zaprzęta ją zgoła  
I oczy ciągle za bocianem biegną,  
Który zatacza coraz niższe koła.

Nagle krzyknęła i w rączęta pleszcze:  
— »Ach, to mój bociek... moje ptaszę wieszczę!  
Witaj że, witaj!« Bocian z pod obłoczy

Spuścił się niżej, zatoczył się wiankiem  
I w chwilę potem stanął tuż przed gankiem;  
Wszyscy szeroko otworzyli oczy:

\* \* \*

Na szyi długiej i białej jak śniegi  
Była jak dawniej błękitna kokardka.  
Lecz na niej teraz wisiał krzyżyk legii  
I tuż zwinięta jakaś mała kartka

Ach, jak serduszko zabiło dziewczynie!  
Jakże gwałtownie łono oddech chywała!  
Drżącemi rączki już kartkę rozwinie  
I głosem mocno poruszonym czyta:

»Ślę z pod piramid pozdrowienie Jadzi!  
»W krótkce Wszechmocny nas ztąd wyprowadzi...  
»Mego tułactwa skończą się mitręgi...

»Ku tobie rwie się utęskniona dusza....  
»O, luba, kochaj twego Tadeusza,  
»Pamiętaj o nim... dochowaj przysięgi!«

Biedna Jadwiga blednie jak nie żywa,  
Jakież katusze znosi w sercu srogie!  
Nagle swój biały welon z wieńcem zrywa,  
Wybuchła płaczem i woła: Nie mogę!

Przebacz pan—mówi do narzeczonego—  
Niechaj mię niebo, niech ludzie obwinia!  
Ale kochałem i Kocham innego..  
Nie mogę, nie chcę być dłużej kłamczynią!

I wyczerpana padła na podłogę,  
Budząc wśród gości zamieszanie, trwogę.  
Pan młody widząc swe chybione cele,

Kazał niezwłocznie podawać karety  
I razem z gośćmi odjechał. Niestety!  
Tak się skończyło dzisiejsze wesele...

#### Zakończenie.

\* \* \*

W powietrzu dziwne szły jakieś powiewy,  
Budzące w sercach radośne przeczucie;  
Z zachodu biegły jakieś echa, śpiewy  
O niesłyszanej, ale swojskiej nucie,

I szła pieśń nakształt dalekiego szumu,  
Lub jak na niebie wiosenny gwar ptasi,  
Wciąż się zbliżając... Ust tysiące tłumy  
Ją pochwyciły, wołając: to nasi...!

Wreszcie do kraju prądem wartkiej fali  
Wpłynąwszy,—rwała wciąż dalej i dalej,  
Zalawszy echem błonia, miasta, wioski.

We dworach, chatach, wieczorem i rano  
Przez wszystkie okna na drogi patrzano,  
Śpiewając jedną pieśń: »Marsz marsz Dąbrowski!«



I Jadzia oczy na drogę wyteża,  
Dnie całe siedząc w oknie bezustanku,  
Często ją ludzi tętent, brzęk oręża,  
Wówczas wybiega i staje na ganku.

I tak dzień po dniu przechodził z kolei.  
Ej Jadziu, Jadziu! żal mi twoich oczek!  
W tem hen, na końcu lipowej alei  
Podniósł się kurzu leciuchny obłoczek

I słyhać tętent.... Kurz zbliża się, rośnie;  
Serce Jadzine uderza radośnie....  
O biedne serce! czyż znowu się myli?

Całą istotą skupiała się w oku:  
Widzi—coś błysło jak lanca w obłoku...  
Czemuż sokolich ócz niema w tej chwili!

\* \* \*

Tętent się wzmaga, kłęb kurzu się toczy,  
Już bliżej, bliżej chorągiewka miga,  
Już widać jeźdźca—mknie co koń wyskoczy!—  
Z ganku doń ręce wyciąga Jadwiga.

Ot jeszcze chwila—i koń cały w pianie,  
Chrupiąc, jak wryty stanął u dziewczęcia,  
I śliczny ułan niby malowanie  
Rzuca się z konia prosto w jej objęcia!

Bocian radośnie spoglądał ze strzechy  
Na łyzy kochanków, uściski, uśmiechy  
I witał gościa rozgłośnym klekotem...

O czytelniczki! co się stało dalej,  
Jak się pobrali i jak się kochali—  
Niech własne serca powiedzą wam o tem....

Koniec.



## Bocian \*).

### LEGENDA II-GA.

Spójrzyj: to zgliszcze, te smutne ruiny,  
Przy których, ręce załamując, płacę;  
Te gruzy straszne, w których dziś gadziny  
Mają siedliska, i huczą puhacze;  
Ten sad, topole i lipy, niestety,  
Nagie zczerniałe, bez liści korony

\*) Opowiadanie to osnułem na gadce, którą przed laty  
słyszałem między ludem na Wołyniu.

I tak stojąc nieme jak skielety  
Z podniesionemi w rozpaczy ramiony;  
Ach to pustkowie czarne od pożaru,  
Gdzie dzisiaj nawet ptak nie zaszczebioce  
Było niedawno pełną życia, gwaru  
Zagrodą naszą.—Dziś mury sieroce  
Patrzące na cię niby kościotrupy  
Oczodołami potłuczonych okien,  
Oplata zielsko, a gzymсы i słupy  
Zasnuwa gęsta sieć pajęczych włókien!

A tu przy bramie, pod owym jaworem  
Stała kapliczka; w niej statua Jana  
Świętego, który trzymał straż nad dworem;  
Patrz ta kapliczka na pół zrójnowana  
A święty zrzucen z swego piedestału  
Leży wśród gruzów na wznak i oczyma  
Nieruchomymi, lecz pełnymi żalu  
Spogląda w niebo—i palmę swą trzyma...  
Dalej dziedziniec... W głębi duży, biały  
Stał dom, spichlerze, rząd oficyn długi  
W koło dziedziniec wielki otaczały,  
Tu się roiła służba, goście, cugi  
A dwór jasnymi oknami, wesoło  
Patrzył na ruch ten, na to ludzi mrowie  
Wznosząc pogodnie białych murów czoło...  
Dziś tutaj cisza grobów i pustkowie!...  
Czy słońce wschodzi—nikt go tu nie wita,  
Czyli zachodzi nie żegna wzruszony,  
Tylko ruina szczerbami okryta,  
Długi cień rzuca z tej lub owej strony  
I tylko czasem oderwana cegła  
Zleci z łoskotem i na gruzy spada,  
Budząc wśród ciszy, która tu zaległa,  
Pełne rozpaczy echa: biada! biada!...

Ach, owo zgliszcze, na które dziś patrzę,  
Ożywia w duszy mojej wspomnień tyle!  
I chyba sama śmierć w pamięci zatrze  
Ostatnie w domu tym spędzone chwile!  
Pomnę: w salonie okna przysłoniono,  
Zakryto lustro—i panują zmroki...  
Widzę katafalk, przy nim świece płoną,  
Na katafalku leżą ojca zwłoki.  
Ledwie poznaję w nich swego rodzica!  
Patrzę na ręce złożone, z obrazkiem,  
Na twarz wychudłą, żółtą jak gromnica,  
Co zda się ruszać chwiejnym świec odblaskiem,  
Patrzę na dymek snujący się z knotów,  
Który mgłą ciężką zawisa w komnacie,  
Na tajemniczą mroczność ścian, przedmiotów  
Na sposepniałe portretów postacie,  
Które z ram dużych, wiszących na ścianie,  
Mrugają ku mnie tak żywo a smutnie,  
Jakby panowie ci i strojne panie  
Nagle ożyli na swem ciemnym płótnie.  
Patrzę na twarze nieznanym mi ludzi,  
Którzy w milczeniu tłoczą się przy trumnie:  
Wśród nich największą ciekawość mą budzi  
Słuszny pan jakiś, co wrogo i dumnie  
Spogląda na mnie i siostrzyczkę moją,  
Z którą, za rękę pobrawszy się, stoim;  
Czuję że tego pana tu się boją  
A ktoś mi szepce, że jest stryjem moim.  
—Stryjem? drzącemi powtórzyłem wargi—  
Nigdy go w naszej nie widział zagodzie,  
Ale wiedziałem, że jakieś zatargi  
Miał z noim ojcem, że nie byli w zgodzie.  
—Co on tu robi na jego pogrzebie?  
Zadaję sobie w milczeniu pytanie;  
Tymczasem słyszę szepty obok siebie,

»Biedne sierotki! co się z niemi stanie?«  
Patrzę na wszystkich, nie mogąc zdać sprawy  
Z tego co słyszę i co się tu stało,  
Tylko pod wpływem bezwiednej obawy  
Tułę do siebie moję siostrę małą,  
Która podniosła ku mnie oczka duże,  
Jak gdyby prosząc o pomoc czy radę  
I rozstuliła usteczek swych róże •  
Takie zdziwione dziś i takie blade!

Wreszcie ruszyli księża ze śpiewami,  
Za niemi trumna z milczącą gromadką,  
Dwór opustoszał, zostaliśmy sami  
Z trapiącą serca dziecinne zagadką.  
Strach nas ogarniał w tej olbrzymiej sali  
Pustej i mrocznej, okrytej całunem;  
W tem ów stryj wchodzi i woła: »Hej, malil!  
»Słuchać mię!... jestem waszym opiekunem!«

\* \* \*

Rok nie upłynął—a już jaka zmiana  
Była we dworze! Stryj nic nie oszczędzał!  
Najprzód nad sobą pięść nowego pana  
Uczuła służba, którą porozpędzał;  
W pierwszym tygodniu po Ojca pogrzebie  
Nawet piastunce, staruszce Agacie  
Kazał się wynieść! Wkrótce koło siebie  
Mieliśmy tylko nieznanne postacie  
I tylko obce i niechętne twarze,  
Co w nas wzmagało sieroctwa uczucie,  
Którym niekiedy niebo dzieciom każe  
Winy rodziców zmyć w ciężkiej pokucie.  
Z rozkazu stryja byliśmy zmuszeni  
Wkrótce opuścić nasz pokoik ładny:

Nas pomieszczono w piekarnianej sieni  
I jeść dawano nam w izbie czeladnej,  
Mieliśmy chleba suchego okrawki  
I na barłogu słomianym spoczynek,  
Zaś nasz pokój i nawet zabawki  
Posiadał teraz opiekuna synek.  
Jak liście drzewa, gdy mu uschnie korzeń,  
Wiedliśmy w nędzy, niszczeni w niedoli;  
Ileż ucisku, wzdury, upokorzeń,  
Ile doznali dzikiej samowoli!  
I nie mieliśmy poskarżyć się komu  
Ani o pomoc zawołać do kogo:  
Wszyscy dziś byli obcy w naszym domu,  
Wszyscy na sierót spoglądali wrogo.  
Siostra odemnie młodsza o dwa lata  
Marniała w oczach jak kwiatek bez słońca;  
Często wołała przez sen: tata! tata!  
Lecz we dnie była smutna i milcząca.  
Ona, z twarzyczki której nigdy prawie  
Dawniej nie zchodził uśmiech,—ta szczebiotka  
Dziś zapomniała nawet o zabawie!  
Z ust jej nie wyszła ani jedna zwrotka  
Dawnych piosenek, i uśmiechy znikły  
A cichy smutek, głęboka tęsknota  
Na tej dziecinie do smutków nie zwykłej  
Wyryły znamię wyraźne »Sierota«  
Raz jeden, niby słońce przed zachodem,  
Uśmiech wesela błysnął na niej przecie,  
Krótkiej radości tej była powodem  
Lalka, co z dworu wymietli na śmiecie,  
Jej własna lalka! jedna z owych lalek  
Którą z innemi ponoś zabawkami  
Zagarnął sobie stryjowy synalek.  
Teraz zniszczona okryta strzępkami  
Leżała w śmieciu zabrukana, zmięta.

Gdy ją siostrzyczka zobaczyła zdala,  
Podbiegła, w małe porwała rączęta,  
Krzyząc radośnie »Lala moja! lala!  
I tuląc szczątki kochanego cacka,  
Poczęła pieścić, całować szczęśliwa.  
Nagle syn stryja wypada znieńacka  
—To moja!—krzyknął,—za lalkę porywa  
A tak ją targnął, że biedaczka moja  
Upadła. Spójrzę: krew płynie z twarzyczki!  
Więc się rzuciłem na małego zboja  
I nuż mu tęgie wymierzać policzki,  
Nuż go za włosy! Byliśmy rówieśni,  
Ale ja krzywdą siostry oszalały,  
Miałem przewagę nad nim, i nie wcześniej  
Włosy się jego z rąk mych wyplątały,  
Aż służba wreszcie rozwarła nas siłą.  
W tem stryj nadbieżał. Miał dzikie wejście,  
Coś tygrysięgo w oczach mu świeciło  
Podniósł nademną kułaki »Ha, szczenię!  
—Syknął przez zęby—Śmiesz tykać, zuchwalcze,  
Mojego syna!... hejże różgi! baty!...  
Ja was nauczę, wypłódki padalcze!  
Na stajnię z nimi!... potroszczyć im gnaty!...  
Ale już siostrę chwyciłem za ramię  
I nim się służba mogła na nas rzucić,  
Jużeśmy biegli co prędzej ku bramie,  
Ażeby nigdy do domu nie wrócić.

\* \* \*

Nastały dla nas straszne dnie tułactwa!  
Bez sił, opieki, bez dachu nad sobą,  
W łachmanach zgniłych i pełnych robactwa,  
Trapieni głodem a często chorobą,  
Często nocując pod odkrytem niebem

Lub się tułając od chaty do chaty,  
Żyliśmy suchym wyżebrany chlebem  
I w wyżebrane stroili się szmaty.  
We dnie od domu byliśmy najdalej,  
By nas nie tknęła pięść stryja zawzięta,  
Ale pod wieczór myśmy kołowali  
Obok zagrody, jak głodne wilczęta.  
Często przemogłszy uczucie obawy,  
Skradaliśmy się aż pod ogrodzenie,  
Widzieli wówczas rząd okien jaskrawy,  
W których migały rozmaite cienie;  
Gwar licznych głosów w domu i w ogrodzie,  
Dźwięki orkiestry wraz z tańców tupotem  
Leciały ku nam. Trzęsąc się na chłodzie,  
Myśmy słuchali skuleni pod płotem;  
Łzy mimowolnie rosiły nam lica  
A myśli biegły tam, na te pokoje,  
Gdzie tak niedawno, za życia rodzica,  
Tacy szczęśliwi byliśmy oboje!  
Stokroć przykrzejszą bywa nędza nasza  
W obec widoku cudzej pomyślności,  
Kiedy pomyślność ta się rospanasza  
Na gruzach naszej szczęśliwej przeszłości!  
Dziś inni ludzie, zwyczaje, porządki  
Inne tam były śpiewy i biesiady!  
Stryj niszczył nasze najświętsze pamiątki  
I pragnął zatrzeć wszelkie po nas ślady,  
Aby tem łatwiej ziścić swe zamiary  
I nas wywłaszczyć bezprawnie, przemocą;  
Miałże się sądu obawiać i kary?  
Któż się upomni o krzywdę sierocą!

A jednak niebo zesłało mściciela!  
Posłuchaj: Było na domie prastare  
Gniazdo, co wiosny stale, od lat wielu



Zamieszkiwane przez bocianów parę.  
To sympatyczne długonogie stadło  
Wywiodło u nas pokoleń nie mało;  
Nikt nie pamiętał, kiedy tu osiadło;  
Pono od kiedy dominium stało—  
Dźwigało gniazdo na czubie swej strzechy!  
Myśmy kochali tę parę skrzydlatą;  
Co wiosny ileż było to uciechy,  
Gdy powracały bociany na lato,  
Gdy się ozwały wesołym klekotem  
I ku nam długie wyciągały szyje,  
Jakby witając i pytając o tem:  
Jak się miewamy? czy gospodarz żyje?...

Owoż gdy w domu nastaly odmiany,  
Wśród opiekuńczych rządów i nadużyć  
Stryj nasz, snąc mając budownicze plany,  
Lub z innych względów,—kazał gniazdo zburzyć.  
Rozkaz spełniono. Pewnego poranku  
Siedziba ptaków ze szczytu zepchnięta  
Runęła na dół—i u stopni ganku  
Legły skrwawione małe bocianięta.  
Zbiegłszy się zewsząd, na to widowisko  
Patrzyła czeladź bezzmyslnie wesoła,  
A nad nią stare bociany tak nisko,  
Tak rozpaczliwe zataczały koła!  
To się wzbijały ku niebu z klekotem  
Niby ze skargą, to spadłszy z obłoku,  
Dom i dziedziniec otaczały lotem,  
Szukając piskląt. Tak trwało do zmroku

\* \* \*

Tę noc jak zwykle, mieliśmy na dworze  
Spędzić. O zmierzchu poszliśmy pod gruszę,

Która samotna stała na ugorze;  
Tłało tam jeszcze ognisko pastusze,  
Ktorem podsycił nieco suchą trawą,  
I przytuliwszy siostrzyczkę uspioną,  
Siedziałem, patrząc przed się w dal szarawą:  
Tam dom nasz stoi pod mroków oponą  
Lecz od ciemnego tła nieba odbity,  
Swych ścian białością z za drzew się wystawia.  
Widzę kominy, dach i dymu kity  
A nawet studnię a nad nią żórawia,  
Tylko nie widać bocianiego gniazda.  
Wieczór był cichy; na niebie zciemniałem  
Już tu i ówdzie zatiła się gwiazda...  
Nagle w powietrzu bociana ujrzałem:  
Zniżał się ku mnie, zakresłał półkole,  
Tnąc dużem skrzydłem toń powietrza ciemną,  
Nareszcie zwolna spuścił się nad rolę,  
I niespodzianie stanął tuż przedemną.

Bocuś nasz! bocuś!—krzyknąłem tak głośno,  
Aż śpiącą siostrę obudziłem przy tem,  
Która podniosła twarzączkę radośną  
I spoglądała na gościa z zachwytem.  
Mogliśmy jego przejrzeć się postawie,  
Gdyż się nie ruszał, a stanął tak blisko,  
Że się go można było dotknąć prawie,  
Bo przedzielało nas tylko ognisko.  
Długi dziob jego kraśniał przy płomieniu,  
Głęboki smutek patrzył mu z pod powiek,  
Coś tak ludzkiego miał bocian w spójrzeniu,  
Iż się zdawało: przemówi jak człowiek!  
Postał przed nami smutny niewymownie,  
A potem jeszcze bliżej się podsunął,  
I, o dziw! chwycił rozpaloną głównię,  
Rozwinął skrzydła i w powietrze frunął!

Zdumionym wzrokiem biegliśmy za ptakiem,  
Który choć znikał pod nocy osłoną,  
Lecz drogę swoją iskrzącym się szlakiem  
Kreslił po niebie żagwią rozpaloną.

Nastała północ. Wśród ciszy i głuszy  
Czasem zaszczekał jakiś pies daleki  
Lub mocniej liścia zaszumiały gruszy,  
Zsyłając senność na nasze powieki!  
Czasami komar zabrzączał przy skroni  
Lub trzask zaszypiał od gasnącej główki,  
Słuchałem rżenia pasących się koni  
I jakichś szmerów na ściernistej równi,  
Gdzie ze mgły chwiejne snuły się postacie...  
Niebo patrzyło na nas roziskrzzone  
I po swej głębi, jak po cyferblacie  
Suwało gwiazdy wszystkie w jedną stronę,  
A w poprzek jego lśniła mleczna droga,  
Na którą patrzę półsenny i myślę:  
»Tą drogą chodzą sierotki do Boga!  
Kiedyż on po nas aniołków swych przyśle?»

W tem blask niezwykle uderza mi w oczy:  
Spójrzę: na domie zarzewie olbrzymie,  
I dym czarnymi kłębami się toczy!  
Iskry jak race pękają w tym dymie  
I wypryskują nad ognistym stosem  
Wśród jęków, krzyków, wołania i wrzasku!  
A nad tym dymu, głosów, skier chaosem;  
Pławiąc się w krwawym płomieniu odbłasku,  
Bujają oba bociany do koła,  
Jakby chcąc widzieć, czy dobrze się pali;  
Wreszcie gdy ogień wszystko objął zgoła,  
Po kilku kręgach znikają w oddali.

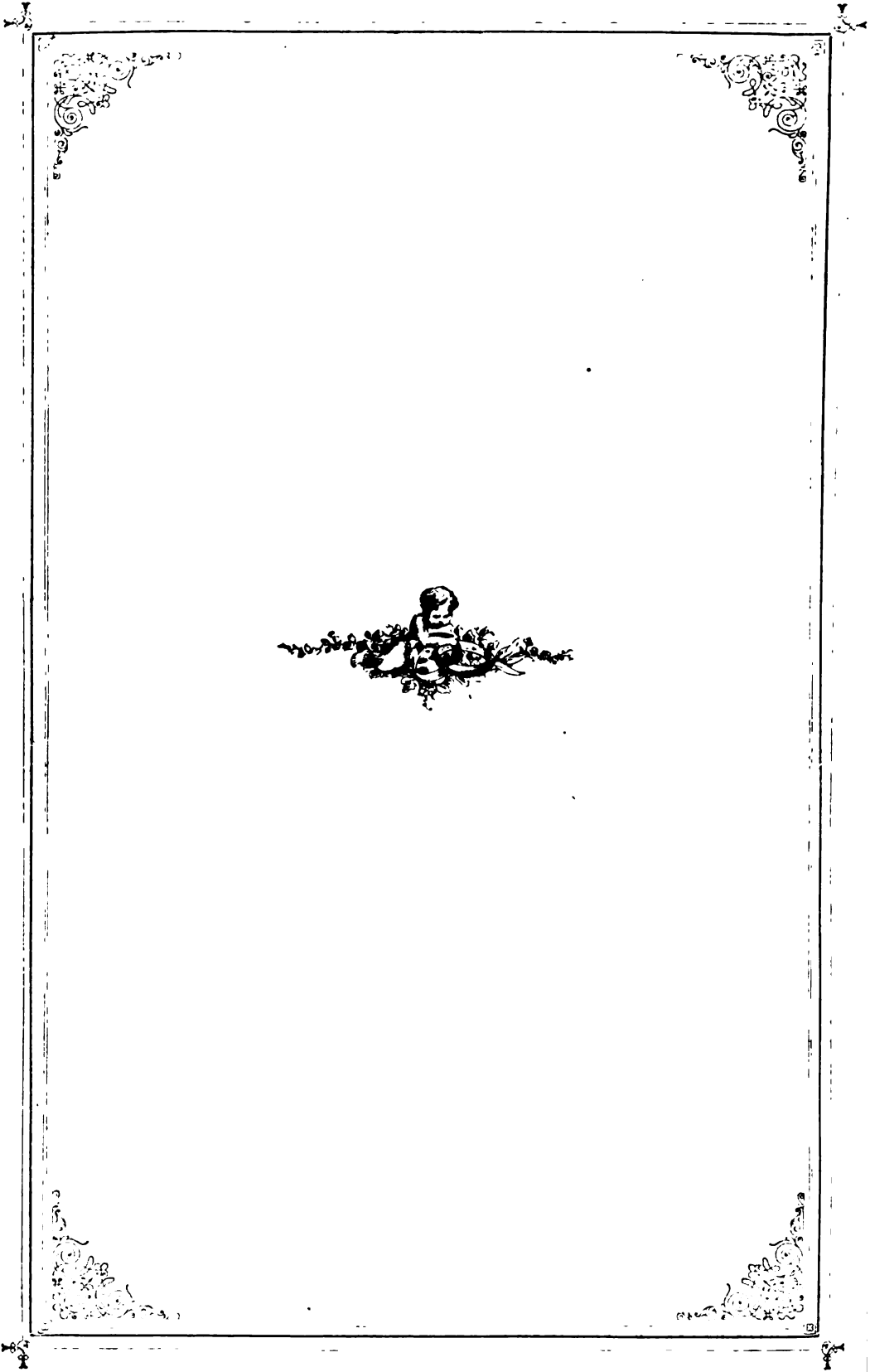
A już pożaru rozszalała burza  
Ciągłe dom szerszą ogarniała falą;  
Już dym wraz z ogniem z okien się wynurza;  
Pękają, szyby, już krokwie się wałą,  
I nowe kłębem wybuchają chmury!  
Już obnażone belki u wiązadła  
Rozżarzonemi iskrzą się kontury,  
Wreszcie już z trzaskiem powała upadła,  
Już ganek runął... i tylko kominy  
Wysokie, cienkie wśród płomieni sterczą!  
Wtem język krwawy liznął ofscyny  
I tam rozpoczął robotę morderczą:  
Gorzą śpichlerze, stajnie i stodoły,  
W około ogień!—nie, to ognia morze!  
Psy dziko wyją, ryczą krowy, woły  
I beczą owce żałośnie w oborze,  
A ze wsi wielkim jękiem dzwon oddzwania;  
Zewsząd wołają: pomocy!... ratunku!  
Lecz płomień wszystko doszczętnie pochłania,  
Szaleje wszędzie—i w każdym kierunku!  
Już nawet z domu wyniesione sprzęty  
Palą się!... Brama, płot, sztachety,  
Wszystko na pastwę rwał płomień zacięty  
I nie oszczędzał nawet drzew! Niestety!  
One wśród wścieklej ognia orgii takiej  
Poczęły płonąć jak jasne gromnice;  
Ich liście wichrem, jak ogniste ptaki  
Oblatywały całą okolicę,  
Roznosząc postrach i grozę pożaru.  
Na niebie łuna od końca do końca  
Miała kształt straszny krwawego sztandaru,  
Który powiewał aż do wschodu słońca!...

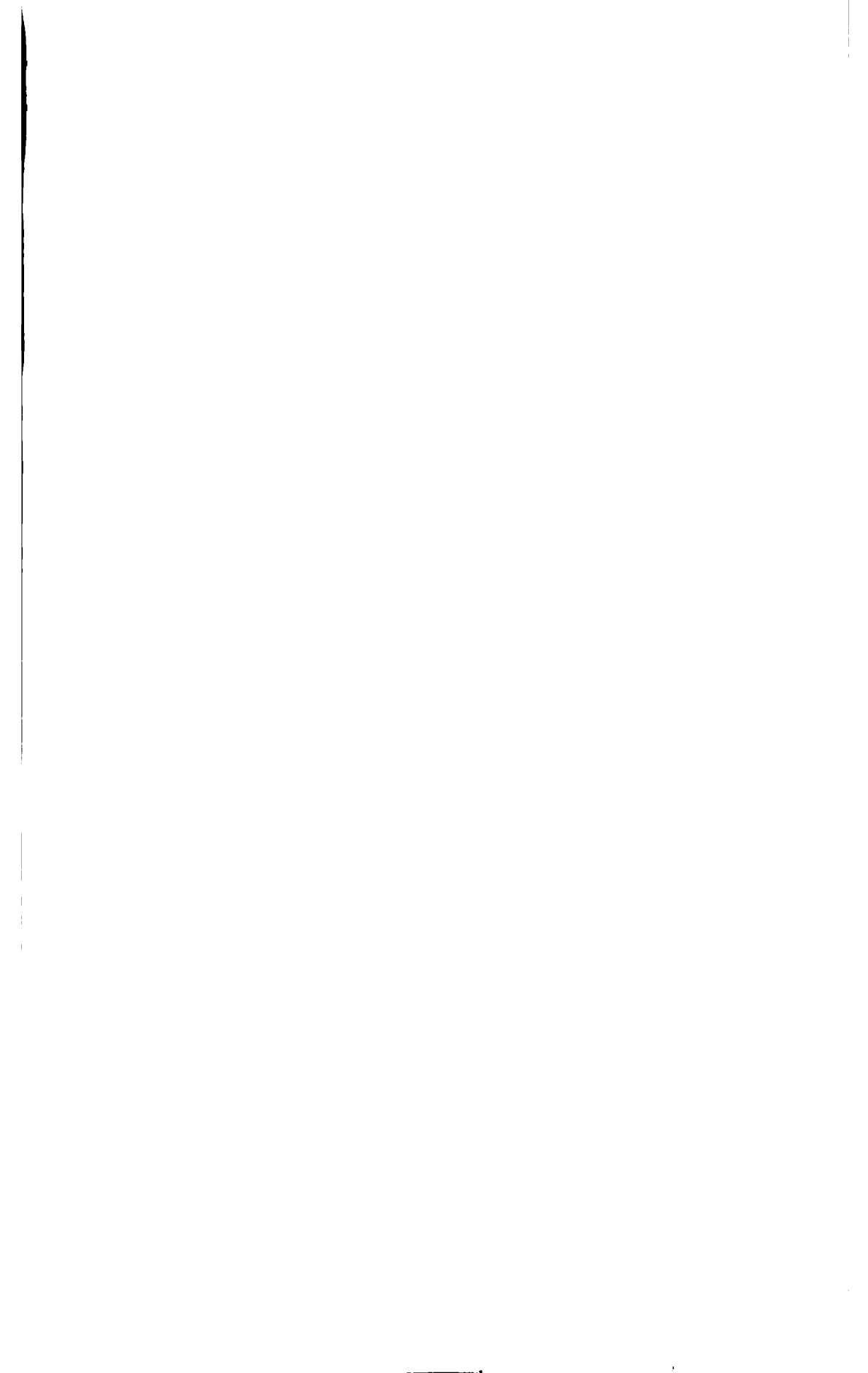
Nasz stryj—opiekun chciał ratować syna,  
Zapomnianego wśród powszechnej trwogi;

Już go wynosił... wtem strop się ugina  
I duża belka przywała mu nogi!  
Napróżno z pod niej wydobyć się sili,  
Darmo się obaj wiją i szamocą!  
Widząc to ludzie z przerażenia wyli,  
Lecz nikt nie ważył rzucić się z pomocą.  
Tymczasem płomień czerwonym językiem  
Musnął ofiarę najprzód lekko zdala,  
I wnet z trzeszczeniem, skwarczeniem i sykiem  
Brodę, brwi rzęsy i wąsy osmala.  
Włosy na głowie płomienistym wieńcem  
Stały—sterczą jak czerwone druty!  
Męczennik zdawał się być potępieńcem,  
Żywcem skazanym na piekiel pokuty!  
Nie długo jednak wił się w takiej męce!  
Już płonął cały!... Jeszcze raz nad siły  
Wytknął z płomienia wpółzwęglone ręce,  
W końcu go ognie jak węże spowiły  
I dym pochłonął...

Długo po pożarze  
Baby, zwijając wieczorami motki,  
Gwarzyły o tem, jak to pan Bóg karze  
Tych opiekunów, co krzywdzą sierotki....











PG 7158 .W79 .B6

C.1

Author :

Stanford University Libraries



3 6105 037 301 236

DATE DUE

STANFORD UNIVERSITY LIBRA  
STANFORD, CALIFORNIA  
94305

